

Monika Kowaleczko-Szumowska

BAPU

**opowieść
o dobrym maharadży**



**Ilustracje:
Marcin Minor**



Wacek, Tadek i Franek siedzieli w zimnej izbie, a ich mama leżała w łóżku, przykryta płaszczem.

– Indie zgodziły się przyjąć dwieście pięćdziesiąt polskich sierot – przeczytał na głos Wacek, podnosząc głowę znad strzępka radzieckiej gazety.

– Widzicie, chłopcy – odezwała się mama, próbując usiąść na łóżku. – Tadek i Franek pojedą do Indii, a Wacek zaciągnie się do polskiego wojska.

* * *

– Mama Franka wyzdrowiała? – ucieszyła się Nehal.

– Niestety, z dnia na dzień było z nią coraz gorzej. Wacek próbował posłać po lekarza, który mieszkał dwadzieścia osiem kilometrów od nich, ale drogi były zasypane śniegiem. Nie było jak dojechać.

– Nie lubię śniegu – wtrącił papa.

– Nigdy go nie widziałeś – zauważyła mama.

– I tak go nie lubię – wzruszył ramionami papa. – Nie ufam mu.

Wyobraziłam sobie siebie brnącą przez śnieg, sparaliżowaną strachem, przemarzniętą.

– A ich papa? – zapytała Nehal.

– Już wtedy nie żył – westchnęłam. – Chociaż nikt z nich o tym jeszcze nie wiedział.

Nehal przytuliła się do mamy.

* * *

Wieczorem 17 stycznia 1942 roku Wacek i Tadek leżeli na podłodze, a dziesięcioletni Franek obok mamy na łóżku. Czuwali przy świetle Królowy Śnieżki – małej lampki zrobionej z butelki i kawałka knota. Nie spali. Nagle mama jęknęła. Franek, przerażony, wyczołgał się z łóżka, a Tadek i Wacek natychmiast podbiegli, wciskając mamie do ust łyżkę wody z walerianą. Płyn spłynął jak gdyby na dno pustej studni.

– Mamusia umarła – odezwał się głucho Tadek.

Franek zastygł przy piecu. Wacek płakał. Tadek klęczał przy łóżku mamy. W pewnej chwili zerwał się i zaczął biegać po pokoju jak obłąkany. Wyglądał strasznie. Nie mógł się uspokoić. Franek bał się, że ta okropna noc nigdy się nie skończy.

Następnego dnia Wacek i Tadek odprowadzili trumnę z ciałem mamy na cmentarz. Nie było trzeciej pary butów, więc Franek został w domu.

Księstwo Nawanagar, rok 1942

W stolicy Księstwa Nawanagar każdy dzień rozpoczyna się od wrzasku nietoperzy powracających z nocnego polowania na komary.

Nietoperze okrążają złoty pomnik założyciela miasta, Jama Rawala, i lądują na banianie, figowcu rosnącym na

brzegu jeziora Lakhota. Otulają się skrzydłami i wczepione pazurkami w gałęzie zasypiają łebkami w dół.

Tego dnia nietoperze właśnie poszły spać, kiedy Franek i Tadek zeskoczyli, jeden za drugim, ze stopni wagonu na stacji kolejowej.

Na peronie stał maharadża Nawanagaru, Digvijay Sinhji, obok niego sześciolatnia Hershad, ściskając dłoń swojej guwernantki AnnieBa. Hershad liczyła dziewczynki wysiadające z pociągu. Umiała liczyć tylko do dziesięciu i to w języku gudżarati. Po każdej dziesiątce zaginała paluszek, a kiedy zabrakło jej własnych, usiłowała zaginać palce następcy tronu, ale ten specjalnie je prostował. Wreszcie dała za wygraną.

– To są wasi bracia i siostry z Polski – powiedział Bapu do syna i córki.

– Aż tylu? – zdziwił się Sat.

Do Bapu podszedł mężczyzna w polowym mundurze wojskowym.

– Ksiądz Franciszek Pluta – przedstawił się.

– Witam. – Bapu podał mu dłoń.

– AnnieBa? – Hershad pociągnęła guwernantkę za rękaw. – Dlaczego oni są tacy chudzi?

– Głodowali.

– Pięć bankietów nie wystarczy, żeby ich odkarmić!

– Trzeba będzie wyprawić sześć – szepnęła AnnieBa, powstrzymując łzy, bo widok zabiedzonych dzieci zrobił na niej ogromne wrażenie.



– A dlaczego są tacy smutni, AnnieBa?
– Nie wiedzą, co ich tu czeka, boją się.
– Przecież nic złego im się tu nie stanie!
– Oczywiście, kochanie, ale oni tego jeszcze nie wiedzą.

– Są pod opieką Bapu – zapewniła ją księżniczka.
– Wiem, kochanie – uśmiechnęła się AnnieBa.

Następca tronu kręcił się, uczepiony AnnieBa z drugiej strony. Obok nich stał brytyjski oficer łącznikowy i jego żona. Bapu zrobił krok w kierunku polskich dzieci. Przez tłum przeszedł szmer.

– *Welcome* – zwrócił się Bapu do dzieci. – *You are not orphans anymore.*

– Nie jesteście już sierotami – przetłumaczył na polski ksiądz Franciszek Pluta.

– Teraz jesteście obywatelami Nawanagaru – kontynuował Bapu po angielsku, a ojciec Pluta tłumaczył.

– A ja – maharadża zrobił pauzę. Wszystkie dzieci spojrzały na niego. – Jestem Bapu. Ojciec wszystkich mieszkańców Nawanagaru.

Zrobiło się bardzo cicho.

– Wasz także! – dokończył Bapu.

– On mówi serio? – szepnął Franek do Tadka.

Hershad wiedziała, że Bapu nie rzuca słów na wiatr.

Dzieci ze wzgórza

– Kopal! – obudził mnie szept.

– Śpię! – mruknęłam.

– Czy Bapu dotrzymał słowa? – Nehal wgramoliła się do mojego łóżka.

– Tak – odpowiedziałam. – Zbudował dla polskich dzieci osiedle koło wioski Balachadi. Był dla nich jak ojciec.

– A Franek – Nehal umościła się koło mnie – był grzeczny?

– Nie – odwróciłam się do ściany.

– Nie powiesz?

– Niegrzeczny.

– Co robił? Powiedz! – poprosiła. – Inaczej nie zasnę.

– I tak nie zaśniesz – burknęłam.

– Obiecuję – przyrzekła.

– W nocy wymykał się z osiedla z kolegami, żeby popływać w morzu.

– Super! – ucieszyła się Nehal.

– Skakali na główkę ze skałek, łapali pawie, grali w piłkę przy księżycu, biegali po dachach baraków,

podkradali ciastka i śmietanę z kuchni – recytowałam, bo to były moje ulubione fragmenty książki od Gardasa.

– Byli szczęśliwi – szepnęła Nehal.

Dotrzymała słowa i już po chwili spała. Tyle że teraz ja nie mogłam zasnąć.

Leżałam z otwartymi oczami i wyraźnie słyszałam śmiechy i nawoływania polskich dzieci. Dotknęłam dłonią książki, którą trzymałam pod poduszką. Nagle w oddali przejmująco zapłakał szakał i głosy ucichły. Otuliłam się szczelnie kocem.

Rano, kiedy wyszłam na werandę, Nehal już na mnie czekała.

– Idziemy? – zapytała.

– Dokąd? – zdziwiłam się.

– Do osiedla.

– Tam nic nie ma – rozwiałam jej nadzieje.

– Jak to? – zdziwiła się Nehal.

– Oni tu mieszkali kilkadziesiąt lat temu.

– Nic po nich nie zostało?

– Dwa zbiorniki na wodę.

– W wiosce Balachadi ktoś ich musi pamiętać – nie ustępowała Nehal.

Bez słowa zesłam z ocienionej werandy i przez spękane rozlewisko Morza Arabskiego pomaszerowałyśmy w głąb lądu.

Porastające teren kolczaste krzaki nie dawały żadnego cienia.

Na drodze do Balachadi spotkałyśmy Gardasa.

– Dzień dobry! – powitał nas.

– Czy ktoś w wiosce pamięta polskie dzieci? – zapytała Nehal.

– Warto sprawdzić – uśmiechnął się Gardas i poszedł z nami w kierunku domów.

Pod baldachimem z rozłożystych banianów weszłyśmy do Balachadi. Utwardzona droga kończyła się w progu pierwszej chaty. W jej drzwiach siedział starszy mężczyzna ubrany w białą kurtę i sagi. Na głowie miał białą turban. Siedział na krzeselku, obejmując dłońmi kolana.

– Hadzi*! – przywitał się Gardas. – Przyprowdziłem gości.

Pokłoniłyśmy się do stóp mężczyzny, a on powiedział, że ma na imię Yusuf i zaprosił, żebyśmy usiadły obok niego. W chacie było przyjemnie i chłodno.

– Czy pamięta pan polskie dzieci ze wzgórze? – zapytała Nehal po angielsku.

Gardas przetłumaczył jej słowa na język gudżarati.

Mężczyzna skinął głową. Uśmiechnął się.

– Inne europejskie dzieci nosiły wypastowane trzewiki i eleganckie mundurki, a oni biegali na bosaka jak my! Trudno było ich nie lubić! – roześmiał się.

* Hadzi – tytuł honorowy muzułmanina, który odbył pielgrzymkę do Mekki.

- Bywał pan na osiedlu? – dopytywała się Nehal.
- Codziennie zawoziłem tam z ojcem mleko – odpowiedział Yusuf.

Balachadi, lata 1942–1946

Nie było płotu oddzielającego osiedle dla polskich dzieci od wsi Balachadi. Wózek wypełniony bańkami z bawolim mlekiem podskakiwał na nierównościach drogi. Toczyli go we dwóch – ojciec ciągnął, a syn pchał. W słońcu zachodzącym w Morzu Arabskim wyschnięty krajobraz wyglądał magicznie.

Na szczycie wzgórza ścieżka się wypłaszczyła i mleczarz z synem weszli między zabudowania. Na drugim końcu alejki stali chłopcy niewiele starsi od podrostka pchającego z ojcem wózek.

– *Good afternoon, sir* – jeden z chłopców przywitał mleczarza, kiedy podeszli bliżej.

Na te słowa wieśniak zatrzymał się tak gwałtownie, że jego syn wpadł pomiędzy bańki z mlekiem. Chłopcy ledwo powstrzymali się od śmiechu.

– *Kem cho!* – Mleczarz złożył ręce w lokalnym pozdrowieniu i lekko skłonił głowę.

Polacy z szacunkiem powtórzyli jego słowa i gest. W tym czasie syn mleczarza wygramolił się spomiędzy

* *Kem cho!* (gudżarati) – powitanie: Jak się macie?

baniek z mlekiem i zauważył bose stopy mieszkańców osiedla. Wpatrywał się w nie jak zaczarowany, a w uszach dźwięczało mu pozdrowienie skierowane do jego ojca.

- Kim oni są? – zapytał ojca, kiedy chłopcy odeszli.
- To goście Bapu, Yusuf – odpowiedział mleczarz.
- Goście Bapu?! – zdziwił się chłopiec. – Na bosaka?!

* * *

– Wyobrażacie to sobie? – spojrzał na nas Yusuf.

Pokręciliśmy zgodnie głowami, bo nawet nam wydało się to niewyobrażalne.

– Inni Europejczycy nie biegali na bosaka! – roześmiał się Yusuf. – I nigdy nie zwracali się do nas „sir”.

– To prawda – potwierdził Gardas.

– Jeden z nich całymi dniami wałęsał się poza osiedlem – podjął opowieść Yusuf. – Lubiłem go obserwować. Pewnego dnia stanął w progu naszego domu. „Mama, chapatti” – poprosił o indyjski chlebek. Mama pokazała mu, gdzie może umyć ręce. „Posuń się, Yusuf” – powiedziała do mnie i posadziła małego obok. Postawiła przed nim talerz i nałożyła nam obu chapatti. Mały nie spuszczał z niej wzroku. „Yusuf” – mama powiedziała wolno i wyraźnie moje imię. Wskazała na mnie, a potem spojrzała pytająco na małego. „Zbyszek” – odparł mały. Kiedy wszystko zjadł, wstał i wyszedł. Przyszedł do nas jeszcze kilka razy.

* * *

Ośmioletni Zbyszek Bartosz stał na placu pośród innych dzieci i słuchał uważnie słów księdza komendanta.

– Szkoła, harcerstwo i kościół – ksiądz komendant otarł pot z czoła – to trzy filary naszego osiedla. I sport – dodał z wysiłkiem. W skwarze, który pomimo wczesnej pory lał się z nieba, na myśl o uprawianiu sportu zrobiło mu się słabo.

Szkołę lubi moja siostra Janka – pomyślał Zbyszek – i to musi szkole wystarczyć. Mój brat Czesio w przedszkolu śpiewa piosenki o krasnoludkach. Wiesio ma zastęp Sokołów, a Franek gromadę zuchów. Więc ja mogę zajmować się czym innym.

Po apelu Zbyszek razem z pozostałymi mieszkańcami osiedla zbiegł ze wzgórza z zeszytem pod pachą, w tumanach kurzu, wzbijanych przez bose stopy. Gdy inne dzieci wpadły w drzwi szkoły, Zbyszek, niezauważony przez nikogo, minął ją łukiem i wbiegł do małego lasku za budynkiem.

Kiedy po latach otworzył swój szkolny zeszyt z Balchadi, okazało się, że jest on zupełnie pusty. Oraz że jest w kratkę.

Zbyszek nie pamiętał, na jaki przedmiot go przeznaczył. To, że był w bardzo dobrym stanie, wcale go nie zdziwiło. Przecież nigdy go nie użył. Rzadko docierał na lekcje.



Na skraju małego lasku za szkołą znajdowała się wykuta w skale studnia, należąca do gospodarstwa, którego właściciel z synem dostarczali mleko do osiedla. Wewnątrz studni na skalnych półkach i drewnianym rusztowaniu dzikie gołębie zakładały gniazda. W takim gnieździe można było znaleźć pisklę nielota. Zbyszek często się tam zakradał, ponieważ specjalizował się w oswajaniu ptaków.

Wieczorami siedział w baraku na swoim łóżku i delikatnie wsuwał rozgryzione proso lub dżugarę* do dziobów swoich podopiecznych. Małe wiewiórki karmił za pomocą zakraplacza do oczu, który podarował mu osiedlowy lekarz – doktor Ashani. Oswojone przez Zbyszka papugi i gołębie wracały na noc do gołębnika, który im zbudował, a wiewiórki do klatki. Zbyszek dla każdego miał zawsze jakiś smakołyk. Był przecież ich opiekunem.

Kiedy podrosły i umiały wyżywić się same, odchodziły. Zbyszek ich nie zatrzymywał, ale lubił ten czas, kiedy stanowili rodzinę.

* * *

– Czy polskie dzieci były tu szczęśliwe? – zapytała Nehal, kiedy Yusuf skończył opowieść o Zbyszku.

– Przyjechały wychudzone i załężnione – odpowiedział Yusuf. – Ale już wkrótce wyglądały lepiej i zaczęły się uśmiechać i bawić.

– Kopal mówiła, że miały szalone pomysły – przypomniała sobie Nehal.

– Kopal zna tę historię? – zdziwił się Yusuf.

– Gardas nam opowiedział – wyjaśniła Nehal – a Kopal przeczytała o nich książkę.

– Gardas znał te dzieci – Yusuf spojrzął na naszego kucharza. – Był kuchcikiem w ich osiedlu.

* Dżugara – rodzaj zboża.



Indie
Jamnagar ~ Balachadi
1942 ~ 1946